

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Le Fils de Giboyer” komedia w pięciu aktach Emila Augier. Przedmowa do komedyi.— „Salammbô”, romans kartagiński Gustawa Flaubert — Swift wskrzeszony przez głodną Irlandyą.— Kurs Ludwika Wołowskiego.— Wiadomości literackie i artystyczne.

Komedia pana Augier „Le Fils de Giboyer”, jak bomba pękła wśród Paryża i poraniła wielu. Od dawna nie słyszeliśmy tu tyle śmiechu, tyle świstu, oklasków i zgrzytania zębów.

Doniosłość dzieła nakazuje opowiedzieć dokładnie, o co chodzi. Są w nim dwie rzeczy: komedia i satyra polityczna; pierwsza jest niczem, druga wszystkiem. Dla tego rozbiór regularny tu niestósowny: opowiadać intrygę powszednią, byłoby toż samo co pokazywać rusztowanie, z którego wypuszczono fajerwerk. Obrawszy komedią z alluzyj politycznych, pękających w niej nieustannie jak ogień rotowy, zostanie rzecz zużyta, przedmiot wyszarzany na teatralnych deskach: *mezalians* z powodu miłości.

Wskazemy więc rusztowanie o tyle tylko, ile potrzeba do poznania kierunku rac zeń wypuszczonych.

Na wzór Balzaka, który bohaterów swoich przeprowadzał z dawniejszych do nowszych powieści, Augier wprowadził do nowej komedyi dwie figury z dawniej przedstawionych „Efrontów”: margrabiego d'Auberive, arystokratę bez czci, wiary, i Giboyera, sprzedajnego pi-smaka. Obaj zachowali ten sam charakter, tylko mają po dwadzieścia lat więcej. Osoby nowe są: Marechal zbogacony kowal, legitymista-bigot przez uszanowanie

dla swoich milionów; żona jego i córka z pierwszego łoża; hrabia d'Outreville, wychowaniec Jezuitów; baronowa Pfeifer pobożna intrygantka, wodząca rej na przedmieściu świętego Germana; na koniec bohater sztuki, syn Giboyera, uchodzący za jego siostrzeńca i nazwany Maxym Gerard.

Akt pierwszy rozpoczyna się u margrabiego. Stary sługa podając kieliszek malagi, winszuje panu, że go przecież pedogra opuściła; pan zapowiada przybycie młodego krewnego hrabi d'Outreville, którego postanowił mianować swoim spadkobiercą: sługa nadmienia, iż lepiej było ożenić się powtórnie...

Kiedy tak rozmawiają, wchodzi młoda dama, przybrana wytwornie z poważną kokieteryą. niezmiernie skromna i niby mocno zasmucona. Ujrawszy margrabiego przy maladze, dziwi się, gdyż właśnie doniesiono jój, że kona... co posłyszawszy, przybyła z kapłanem, obawiając się, żeby główny filar stowarzyszenia pobożnego nie zszedł przypadkiem z tego świata nieprzykładnie. Margrabia dziękuje z uśmiechem, poleca odwiedzić do domu księdza czekającego w powozie, panią zaś prosi, żeby została, bo ma z nią pomówić o interesach Towarzystwa. Baronowa się wzdraga, ale w końcu dla miłości bliźniego zostaje.

Margrabia ma prosić o łask wiele. A najprzód, ponieważ dziennik ich urzędowy utracił swoje najlepsze pióro, publicystę, który był biczem na wolnomysłców, Père-Duchésnem kościoła (Veillot), on pomyślał o zastąpieniu go człowiekiem, który niegdyś pisywał nie złe kroniki, a biografie nawet tak kolące, iż musiał zmykać z Paryża na prowincyą. Wezwał go tedy z Lyonu i chciałby upoważnienia do zawarcia z nim ugody. Baronowa, u której obraduje komitet, przyzwala w jego imieniu.

Drugi orzech do zgryzienia trudniejszy. Z powodu mającej się rozpocząć w izbie dyskusyi nad budżetem wychowania publicznego, komitet pobożny postanowił ogłosić swój program, w mowie wymierzonej przeciw uniwersytetowi; deputat mający czytać tę mowę, jeszcze nie wybrany; margrabia proponuje, żeby nim był ex-kowal, deputowany Marechal, którego przyjaźń stronnictwo zyskało sobie pochlebstwami.

Baronowa czyni uwagę, że to mieszczuch ograni-
czony i nieokrzesany...—Cóż to szkodzi! woła margrabia,
umie czytać, to dosyć.

Baronowej wydaje się podejrzaną ta protekcyja mar-
grabi dla dawnego ojcowskiego dzierżawcy: „złe języki
twierdzą, iż dla tego pragniesz go wynagrodzić, żeś”...Żem
go uszkodził, kończy margrabia.

— Mówią, ciągnie dalej pani, że pierwsza żona
Marechala była bardzo ładna i żeś aćpan miał prawa
niezaprzeczone być chrzestnym ojcem jęj córki.

— Cóż bo nie mówią złe języki, mościa dobrodziejko!
woła margrabia. Toć zawiść nie mogąca strawić cnoty,
wdzięków i wpływów aćpani, śmie głosić, żeś była panną
respektową w domu ś. p. swego małżonka, którego worek
lepiej dźwięczał, niż tarcza. Nie przestając na tém,
zazdrośni twierdzą, że pani baronowa szuka teraz męża
mającego sławnych antenatów.

Otóż, tego małżonka margrabia podejmuje się wy-
naleźć, jeżeli Marechalowi poruczone będzie odczytanie
manifestu.

Za tę cenę baronowa przyrzeka poparcie.

Powyższa rozmowa jest pełna uszczypliwej werwy:
rzekłbyś, Augier rzymski szydzący sam na sam z Sybilli.

Egerya Towarzystwa Jezusowego, panująca prawem
podboju nad szlachetném przedmieściem, malowana z na-
tury, przypomina bardzo generałową Palmer z *Kopciuszka*
Kraszewskiego. Typ to powszechny teraz na świecie.
Baronowa Pfeifer jest damą wysokiego tonu i wysokięj
dewocyi; cnota jęj wydaje się być skalnym krzysztalem,
bo sławę swoją pielęgnuje, jak gronostaj swe futro; z go-
dnością ksieni prezyduje naradom miłosierdzia; salon jęj
jest kapliczką, gdzie polityka spiskuje pod osłoną rzeczy
świętych, podobnie jak ziemska miłość około kropielnicy
w hiszpańskim kościele.

W końcu dyplomatycznęj rozmowy przybywa ocze-
kiwany kuzynek i spadkobierca margrabiego, hrabia d'Ou-
treville.

Dwudziestoletni ten świętoszek jest także portre-
tem zdjętym z natury. Figura cienko-płaska bez wásów
i brody; czupryna przyczesana, cera wymokła, oczy spu-

szczone, wejrzenie skośne, długa szyja, uśmiech słodkawy, maniery seminarzysty.

Ujrawszy tę próbkę księżego wychowania, margrabia krzywi się i mówi na stronie: „To nie szlachcie, to zakrystyan”! Przedstawia go jednak baronowej, jako prawego syna krzyżowców i wymienia herb jego, co mocne czyni wrażenie na młodej dewotce. Młodzieniec dziwi się, że tak piękna pani jest ową baronową Pfeifer, której gorliwość sławia klerykalne dzienniki; mniemał, iż ta święta osoba jest siwo-włosą matroną.

Baronowa odpowiada uśmiechem potomkowi Godfredów i zaleca margrabiemu, żeby go przyprowadził na wieczór.

Ale margrabia nie jęj przeznacza hrabiego d'Outreville. Skoro dama odeszła, kładzie młodzieńcowi dwa warunki, pod którymi zrobi go swoim spadkobiercą: pierwszy, żeby imię jego dodał do swego; drugi, żeby poślubił pannę Fernandę Marechal, co nie jest wcale ciężką kondycją, bo panna młoda, ładna i trzy razy milionowa.

— Ale nie jest urodzona, wtrąca młody.

— Żaden szlachcie nie wzgardziłby córką zasłużonego Cathelineau (1), odpowiada margrabia. Marechal zostanie Katelinem naszej mównicy; jemu dajemy głos w przyszłej dyskusji o wychowaniu publicznym.

Na takie *dictum* hrabicz się kłania; nie ma bowiem do małżeństwa wstrętu, przeciwnie, chciałby jak najprędzej pojąć żonę, którą zdoła uszczęśliwić będąc niewinnym, jak dziecię w kolebce, co może jego spowiednik poświadczyć: i tam dalej. Łatwo sobie wystawić, co na ten temat mógł powiedzieć złośliwy autor bez ceremonii.

Tymczasem przybywa sprowadzony z Lyonu. pismak Giboyer. Figura ciekawa, mająca także niestety, mnóstwo żyjących pierwowzorów.

Giboyer jest synem portiera, ubogim, prześladowanym, jak mówi, z dwóch przyczyn: 1. że miał nieszczęście odebrać wolnomyślne wychowanie, 2. że chorego ojca tak kochał, iż go nie oddał do szpitala. Od lat najmłod-

(1) Cathelineau zwał się zakrystyan dowodzący buntem wandejskim,

szych zostawiony własnemu przemysłowi, przeszedł mnóstwo pozycji socyalnych: był stenografem, komiwojażerem, sekretarzem, nauczycielem, potem dziennikarzem i biografem - panflecistą. Wszystko to nie dało mu fortuny: „z memi wadami, które nie były kosztowne, mógłem, powiada, wybrnąć z biedy, ale mnie cnoty zgubiły”.

Łotra tego autor nie dość wyraźnie piętnuje. W *Efrontach* Giboyer szuka exkuzy niecných postępków w miłości dla ojca; w nowej komedyi szuka jęj w miłości dla syna. Czyż dla miłości syna, ojciec ma prawo być podłym? Tak przynajmniej pojmuje miłość Giboyer; autor zaś nie dość nacisku na ten fałsz daje.

Giboyer chciał syna swego uprawnąć, żeniąc się z konającą matką jego, ale śmierć przyszła pierwěj, niż książd. „I dobrze się stało, powiada, bo moje nazwisko byłoby oszpeciło Maxyma. Przewawszy go Gerardem, czuвам nad nim, jako daleki krewny; podję się, żeby jemu na niczém nie zbywało, żeby mógł wyjść na uczciwego człowieka”.

Cała ta teoria jest fałszywą: skoro w sercu człowieka spodłonego zrodzi się miłość, miłość taka, jaką Giboyer niby dla dziecka swojego czuje, nędznik w ciemnościach duszy swojej ogląda słońce i pierwszém jego pragnieniem jest wyjść z błota, żeby pozyskać szacunek ukochanej istoty, ażeby być godnym przywiązania czystego serca. Giboyer powiada, że „został gnojem, ażeby na nim mogła bujać lilia”: przenośnia piękna, ale sposób brzydki.

Otóż Giboyer wypędzony z Paryża za oszczerstwa, trudni się w Lyonie grzebaniem nieboszczyków; na tym to poważnym urzędzie zastała go propozycja margrabiego, którą przyjął, wymagając 12,000 fr. pensyi, „co nie jest wiele za popieranie *nie swoich* opinij, za zastąpienie sławnego łzyciela wolnomysłców, za pobijanie sprawy, którą za słuszną uważamy”. Giboyer nadto wyrabia przez margrabiego miejsce sekretarza dla swego syna przy deputacie Marechal.

Pomiędzy pierwszym a drugim aktem upływa kilka tygodni. Przenosimy się do salonu państwa Marechal. Maxym czyta romans sentymentalnej pani Marszałkowej,

podżyłej damie, która wzdycha do wszystkich sekretarzy swojego męża. Maxym nie rozumiejąc spojrzeń pani, martwi się wzgardą, jaką mu okazuje panna Fernanda jej pasierbica. Dowiedziawszy się, iż go posadza o rzeczy niegodne, żąda uwolnienia od służby. Marechalowi bardzo to nie na rękę, bo właśnie chciał, żeby Maxym przepisał mowę którą ma przeczytać w izbie. Sekretarz podejmuje się przepisać, ale niemniej przeto o dymissyą prosi.

Gdy się to dzieje, margrabia wprowadza do domu Marechalów niewinnego kuzyna, hrabię d'Outreville i prosi o rękę Fernandy dla niego. Rodzice przystają z ochotą; panna, której pilno rozstać się z macochą, zgadza się bez wielkiej niechęci.

Zakochany w Fernandzie Maxym, przepisuje smutnie przemowę patrona, tém smutniej, iż znajduje perorę podstępna i straszliwie przewrotną... Wtém wchodzi Giboyer i rozpoczyna się najważniejsza scena. Maxym nie wie, że Giboyer jest jego ojcem, ale wie, iż mu winien wszystko, i ma dla niego najczulszą wdzięczność. Napojony przez niego zasadami demokratycznymi, które Giboyer bezpłatnie wyznaje, Maxym nie domyśla się, że jego polityczny mentor jest redaktorem klerykalnego dziennika. Ujrzawszy go tedy, wyznaje, że ta mowa napisana tak zdolnie, a tak kręto, zachwiała jego zasady, że już nie wie czy jest w prawdzie czy w błędzie.... Zaczyna się dysputa polityczna: Giboyer zbija fałsze zawarte w mowie, w końcu woła: *untas de sophismes!*

— Alboś ją czytał? pyta Maxym.

— Ja ją pisałem!

— Ty! woła oburzony młodzieniec.

Giboyer spuszcza głowę, pierwszy raz w życiu zawstydzony przez własnego syna. Maxym wyrzuca mu surowo niesumienność, frymarczenie piórem; oświadcza, że odtąd nic od niego nie przyjmie, bo nim gardzi.

Giboyer przyznaje, że jest podły, „ale nie ty, powiada, możesz mnie potępić: sprzedałem się, ażeby ciebie odkupić: zlizywałem błoto z drogi, żeby go oszczędzić twój nodze”.. Maxym poznaje ojca i pada w jego objęcia.

Pomysł pokazania syna zachwianego w prawych poglądach przez frymarzącego sofizmatami ojca, jest bardzo

moralny. Autor policzkuje tym sposobem zasady fałszywej miłości rodzicielskiej, które włożył w usta Giboyer'a; ale trzeba dobrze uważać, żeby ten moral nie przeszedł niepostrzeżony, kiedy tymczasem, błędne pojęcia ojcowskiego przywiązania zostają w pamięci.

Czwarty akt rozpoczyna się u baronowej, religijno-politycznym wieczorem. Wszyscy przywódcy obrońców władzy doczesnej są tu przedstawieni mniej więcej trafnie; każdy portret poznać można, chociaż podpisany pseudonimem. W tej chodzącej galeryi portretów, intryga pełza i syczy....

Fernanda chce się pogodzić z Maxymem, co obudza zazdrość hrabiego d'Outreville; nieborak, idzie na skargę do baronowej, która postanowiła właśnie wziąć go sobie. Zręczna intrygantka dziwi się wręcz, że potomek krzyżowców zamierza się połączyć z dziewczyną bez herbu.

— Sądze, iż nie popełniam *mezaliansu*, zaślubiając córkę naszego mówcy, odpowiada młody. Oświecona tą odpowiedzią baronowa, pozbawia przemowy Marechala, przedstawiając komitetowi, że daleko większe sprawi w izbie wrażenie, jeżeli ich manifest odczyta vicehrabia Aigremont. „Obrona władzy doczesnej w ustach protestanta, będzie miała dwa razy większe znaczenie.” Członkowie z ukłonem poddają się mądrej radzie. Zbyteczna mówić, że tym protestantem jest Guizot, bo inny protestant za władzą doczesną nie przemawiał.

Marechal wściekły, że mu odbierają perorę, której się już na pamięć wyuczył, nie tai swojego gniewu przed Giboyerem: „Strasliwie zemściłbyś się pan, odpowiada tenże, gdybyś przeczytał w izbie inną mowę, zbijającą tę którą ci odbierają.”

— Prawda! Ale zkądże jęć wziąć?

— Mój siostrzeniec napisze ją panu dziś w nocy.

— Idźmy czempredzěj do niego! Jeszcze nie wszystkich stracone! woła Marechal.

Nazajutrz podczas posiedzenia Ciała prawodawczego, Fernanda trwoży się o ojca, małżonka zaś się cieszy, że mąż broni tronu i ołtarza. Wtém wchodzi baronowa, i w imieniu hrabiego d'Outreville prosi o zwrócenie danego słowa, albowiem nie może się żenić z córką człowieka,

który w izbie rewolucyjną filipiką odpowiedział na legitymistyczno-klerykalny manifest. Wprawdzie odniósł świetne zwycięstwo, ale ze szlachtą pokrewnić się już nie może.

Na to wpada Marechal zwycięzki. Giestem Mirabeauta odsyła protestującą żonę do babinca, a córce opowiada szczegóły wygranej bitwy.

Poufne zwierzenia przerywa Giboyer przychodzący z pożegnaniem, mając wyjechać do Ameryki wraz z siostrzeńcem. Maxym odjechać nie może! Któż będzie odpowiadał na zaczepki? woła z rozpaczą Marechal, i ofiaruje genialnemu sekretarzowi 20,000 pensyi.

— Maxym ucieka od miłości bez nadziei, wtrąca lis stary.

— Dlaczego bez nadziei? Nie można być bez nadziei z dwudziestu tysiącami dochodu! Czyż kocha jaką Montmorency?

— Kocha pannę Fernandę, odpowiada Giboyer.

Marechal tak niespodzianie przyciśnięty do muru, kładzie *veto*; ale rozważywszy, że piękna rzecz i rzadka, postępować zgodnie ze swemi mowami, ponieważ jest demokratą, przyjmuje Maxyma za zięcia, chociaż nic niema, a prócz tego takiego ojca jak Giboyer.

Taką jest ta komedia, rodzaj *Świętoszka*, podobnie jak on wpuszczona na scenę przez samego monarchę. Wykonanie jej przedziwne, przyjęcie zawsze tryumfalne. Tylko literaccy kazuiści sarkają na stronnictwą przesadę, nie słusznie, bo tu pociski padają na przeciwników mocnych, mających rozwiązane ręce i usta, nie tak jak w *Ganaśzach*, gdzie autor kopie niemych nieprzyjaciół. Przyjaciele tegoczesnych Świętoszków, jak de Mars, wołają: precz z duchem partyi! sprawiedliwość i moralność przedewszystkiem! Zgoda. Ale czyż sprawiedliwość i moralność nie zasada się na demaskowaniu obłudy? Ci właśnie którzy najwięcej nadużyli komedyi politycznej, najmocniej dziś powstają przeciw komedyi Augiego: odarłszy tyłu ludzi ze skóry w 1848 r., powinni by w 1862 mniej głośno wrzeszczeć, skoro ich podrapano.

Przedmowa którą pan Augier poprzedził pierwsze wydanie „*Syna Giboyera*,” odpowiada na wszystkie zarzu-

ty, czynione téj sztuce. Z tego powodu przytaczamy ją tu całkowicie:

„Cóżkolwiekby o niéj powiedziano, ta komedia nie jest sztuką polityczną, ale socyalną. Atakuje i broni tylko idee, nie tykając bynajmniej żadnej formy rządu. Rzeczywisty jéj tytuł byłby „*Les Cléricaux*,” gdyby nazwa taka mogła ujść w teatrze. Wytknięte stronnictwo liczy w swoich szeregach ludzi wszelkich zasad: stronników cesarstwa, równie jak stronników linii starszej i młodszej Burbonów. Deputat Marechal, margrabia d'Auberive, Couturier były członek parlamentu, wyobrażają w mojej komedyi trzy odłamy stronnictwa klerykalnego połączone nienawiścią lub obawą demokracji; a jeżeli Giboyer ogarnia wszystkie trzy nazwą ogólną legitymistów, to dla tego, że w istocie sami legitymiści są logiczni i nie abdykują pobijając ducha 1789 r.

„Antagonizm dawnéj i tegoczesnéj zasady, jest przedmiotem mojej sztuki; nikt nie znajdzie w niéj jednego słowa wychodzącego po za tę kwestyą; nadto, mam zwyczaj wypowiadać rzeczy tak otwarcie, że nikt także nie może mi zarzucić dwuznaczników. Zkądże więc pochodzą wrzaski przeciw mojej komedyi? Przez jakąż zřęczność klerykalną, roznamiętniły się przeciw komedyi stronnictwa których ona nie tyka? Przez jakież sfalszowanie słów moich, potrafiono wmówić, iż atakuję upadłe rządy? Zaprawdę, zřęczna to taktyka podburzać przeciwko mnie uczucia rycerskie, znajdujące echo we wszystkich uczciwych sercach; ale gdzież są ci nieprzyjaciele, których uderzam powalonych na ziemi? Widzę ich stojących na wszystkich mównicach, wdzierających się właśnie na wóz tryumfalny, a kiedy ja słaby, ośmielam się ich ciągnąć za nogi, odwracają się oburzeni, wołając: Szanuj zwyciężonych! W istocie, to zbyt śmieszne!”

„Poważniejszym zarzutem jest, iż dotknąłem osobistości. Dotknąłem jednéj tylko: to jest Déodata (Veuillota który już odciał się po swojemu jadowitym listem w Figarze). Ale czyż odwet niesłuszny przeciwko temu łzycielowi? z resztą on tak dobrze ku obronie uzbrojony! Co do męża stanu słusznie szanowanego, którego oskarżają mnie żem na scenie wystawił, protestuję energicznie! Żadna

z moich figur do niego nie podobna, ani zbliżona ani daleka. Znam prawa i obowiązki komedyi, równie dobrze jak moich przeciwników: winna uszanowanie osobom, ale ma prawo do rzeczy."

"Wziąłem fakt z historyi społecznej, który mi się wydawał uderzającym i dziwnym symptomatem zaniepokojenia naszych umysłów; wziąłem zeń to tylko, co należy wprost do mego przedmiotu; zmieniłem starannie okoliczności, żeby mu odjąć wszelką cechę osobistą. Cóż można odemnie więcej żądać?"

"Mamże odpowiadać i tym, którzy wyrzucają moją komedyi to, że została upoważniona, czyli, że istnieje? Delikatna materya! Gdyby można było małe rzeczy porównywać do wielkich, zapytałbym się tych purytanów, czy przyszło kiedy na myśl komu, zarzucać *Świętoszkowi* poślazanie Ludwika XIV?"

"Emil Augier."

Wśród rozmówcy kwestyj bieżących, które drażnią lub głaszczą aktorów odgrywających role na wielkim teatrze ludzkiej komedyi, pojawił się cień odwiecznych dziejów świata, krwawe widmo okrutnej ludzkości w pomroce lat przepadłej bez śladu: na imię mu *Salammbô*.

Podobnie jak Bulwer zadziwił społecznych odtwarzając przed ich oczyma straszny kataklizm natury, który pochłoniął Pompeję, tak dzisiaj Flaubert, jaskrawemi barwy odmalował kataklizmy ludzkiego okrucieństwa uplastyczniając swą wizyą Kartaginy. Mówimy, *wizyą*, inaczej bowiem nie można nazwać historycznego obrazu, do którego historia zaledwie kilka danych, a farb żadnych nie dostarczyła.

Do wojen najemników z Kartaginą, które są przedmiotem książki pana Flaubert, nie ma innego komentatora prócz krótkiej opowieści Polibiusza, dającej się streścić w tych kilku wierszach:

Po pierwszej wojnie punickiej, Kartagina ściągnęła najemne wojsko, które za nią walczyło w Sycylii, i zaczęła targować się z niem o zapłatę. Wojsko stojące garnizone w Sicca, zbuntowało się pod przywództwem Greka

Spendiusa i Libijczyka Matho. Afryka prześladowana przez Kartaginę, wspomogła bunt swemi koczującymi hordy. Naprzemiany, zwycięzcy i zwyciężeni, najemnicy zdobyli Hipponę, Utykę i oblegli Kartaginę. Po trzechletniej kampanii Amilkar, wódz kartagiński, zamknął zbuntowane hufce w wąwozie Topora; zamknięci tam barbarzyńcy, z głodu pożarli siebie wzajem: resztki ich Amilkar stratoł słoniowemi stopy. Spendius został ukrzyżowany, a Matho rozszarpany przez kartagińskie pospólstwo.

Po Kartaginie zeskrobaną z powierzchni ziemi rzymskim mieczem, została tylko powyższa wzmianka, kilka kart Hannona, kilka medali, dwa brązowe bożyszcza w Muzeum Cagliari, dwadzieścia niezrozumiałych wierszy punickich w komedyi Plauta.

Flaubert z tych kilku okruszyn, przez intuicją odbudował świat. Czy dokładnie? nikt wiedzieć nie może. To pewna, że jaskrawo, potężnie i pracowicie: zarzucić tylko można autorowi zły wybór przedmiotu.

O ile wydobywający z popiołów rozkoszną Pompeję, Bulwer, wdzięczne i piękne miał pole, o tyle Flaubert same bezceństwa wskrzeszać musiał na tej krwię przesiąknięj pustyni. Trzeba jakiegoś niepojętego upodobania w szkaradzie, żeby z duszą utonąć w tym świecie, na wieki przepadłym, dzięki niebu! Wszystko tam straszne, potworne, i okrutne: bogi srogie, ludzie monstrualni, obyczaje wściekle, złość tak wielka, że przywodzi na myśl przedpotopowe bestye. Czém mógł być lud, który krzyżował swoich wodzów zwyciężonych; który obleżony przez Agathoklesa, w ciągu jednego dnia rzucił na stos Molocha, dwieście dzieci i trzystu mężów. Okrucieństwo przemaga nawet w klasycznym bohaterze afrykańskim Annibalu. Annibal kazał powrzucać w studnie i wydusić po łaźniach senatorów kampanii; kazał spalić żywcem żony Brutiena, skoro opuścił jego stronnictwo; kazał wyrzucić w pień całe wojsko włoskie, które nie chciało z nim iść do Italii. Co do wojny z najemnikami, sam Polibiusz wzdyga się o niej wspomniawszy, i przejęty zgrozą, nie może utrzymać spokojnie stylu zwykle obojętnego na wszystko.

Jak można było zakochać się w takim przedmiocie? Pytanie to co chwila się nasuwa przerzucającemu krwią ociekłe *Salamambo*.

Mordercza ta książka rozpoczyna się biesiadą najemników w ogrodzie Amilkara, Istny to bankiet Babelu! Geniusz etnograficzny autora wysilił się na uplastycznienie wygasłych szczepów, wymarłych pokoleń i znikniętych typów, z których się składał świat starożytny. Grecy, Libijczycy, Gallowie, Numidy, Negry i Baleary, przy jednym posadzeni stole, jedzą, piją, rozmawiają i gestykulują zachowując wybitną odrębność rasy, stroju i umysłu. Każda głowa tego smoka o łbów tysiącach, którego zwano wojskiem najemników, inném nacechowana piętnem.

Biesiada z razu wesoła, wnet przeradza się w zgiełk dziki... instynkt zniszczenia obudza się w tych ludziach, jakby głód drugi: niszczą ogrody, wyrzynają słonie i niewolniki; w końcu Giskon przychodzi uspokoić pijanych i *Salamambo*, piękna córka Amilkara, jawi się, niby druga Penelopa, wśród szalonej orgii.

Pierwszy ten obraz jest, zdaniem naszym, najpotężniejszy: dalsze, wyjąwszy pejzaży, są tylko jego mniej mocnym odbiciem.

Historya schodzi się z romansem w przymusowym marszu najemników do Sicca. Afrykańskie okolice, przeobrażające się jak te twarze skalne, oświecone łuną wewnętrznego pożaru. W tej podróży zdarzają się ustępy olśniewające blaskiem, duszące upałem...

Okolo Sicca najemnicy rozłożeni obozem, czekają niecierpliwie wypłaty żołdu. Suffet Hannon, przybyły z Kartaginy, targuje się z nimi: ofiarowane myto zapala bunt; Hannon bezecny, toczony trądem, fizyczne i moralne uosobienie nieczystego Wschodu, ucieka ścigany kamieniami zwiastującymi ukrzyżowanie.

To ukrzyżowanie opisując, Flaubert przebrał wszelką miarę ideału szkarady, nadużył obrzydliwości w sposób rażący do najwyższego stopnia.

Zbuntowani najemnicy wracają pod Kartaginę i rozpoczynają rzezie. Upłynione wieki rozsuwają się jak fałdy ciężkiej firanki: mordercy i pomordowani defilują

szeregami, jak w pośmiertnej rewii Raffeta, gwardya szkieletów przed cesarskim widmem.

Szczegółowy opis świątyni Tanit, Wenery afrykańskiej, gdzie Matho przybywa w nocy kraść zasłone bogini, jest oparty na dokładnej znajomości mytów wschodnich; z nich go tylko złożyć było można, bo nie zostało śladu z religii Kartagińczyków: starożytność skazała na śmierć kartagińskie bogi.

Świątynia przez Flauberta zbudowana, jest tworem wyobraźni; ale ponieważ nie ma opisu tej, która istniała, współczesni inaczej jej sobie wyobrażać nie będą. Plastyka tak jest wielka, iż czytelnik wierzy w jasnowidzenie przewodnika, co go wiedzie przez srebrne portyki i cedrowe galerie, przez pół ciemne komnaty, gdzie dziwne jakieś błyszczą przedmioty; przez owe ogrody, gdzie śpią pod gołym niebem fenicejskie Fryny. Labirynt tajemniczego gmachu mieni się jak zwoje świętego węża; drżące światła wzrok ludzą, kadzidła mózg szołomią, tak, że kiedy wchodzisz wreszcie do kolistej sali, gdzie siedzi Tanit na hebanowym tronie, czujesz się pomieszany, jak Matho sięgający po jej gwieździstą zasłonę.

Zasłona ta jest węzłem kartagińskiego romansu. Libijczyk porywając ów welon, unosi w jego fałdach pomyślność Kartaginy; odtąd wszystko przeciwko niej się obraca, fatum czarno-skrzydłe nad jej murami zawisło.

Podczas, kiedy gród cały wniebogłosne zawodzi lamenty, mniemając się zgubionym, okręt Amilkara ukazuje się na nieboskłonie.

Ojciec Annibala uosabia w romansie pana Flaubert, bohaterko-podbójczy charakter Kartaginy, Hannon same podle jej instynktu. Pod wodzą Amilkara potworne miasto idzie na Europę, z Hannonem grzęźnie w afrykańskich piaskach. Geniusz punicki atoli zostaje kupcem, nawet na szczycie chwały. Składając władzę, dyktatorowie kartagińscy nie do lemiesza, ale do kontuaru wracają. Flaubert uwydatnił tę dwulicowość Amilkara: jeden cały rozdział poświęca przeglądowi bogactw jego. Książę kupiec zwiedza swoje magazyny i składy. Nadzorca okrętowy zdaje mu sprawę z żeglugi jego statków, nadzorca podróży z wypraw karawanowych. Przebywają razem

mnogie izby napełnione kruszcami i towarem korzennym; potem schodzą do piwnic pełnych zboża, monety i drogich kamieni, których pilnują ludzie przykuci do muru łańcuchami.

Z piwnic idą do fabryki pachnideł, gdzie niewolnicy wprzężeni w deptaki, obracają kamienie mielące wonne zioła. Autor przeprowadza czytelnika przez wszystkie kondygnacye tego handlowego piekła, w którym siedzi dusza Kartaginy, a zamiast szatana, panuje mamona.

Amilkar obrany dyktatorem, rozpoczyna wojnę. Odtąd słyhać już tylko szczęk toporów, łamanie kości i plusk krwi płynącej strumieniami. Cała Afryka zbuntowana przeciw tyrance, przychodzi oblegać Kartaginę; bój starożytny występuje w swój cyklopięj potędze: zda ci się, że widzisz w ruchu płaskorzeźbę kolnmny Trajana.

Podczas, kiedy Kartagina broni się pochwycona w objęcia Tytana, głód wnętrzości jej porze: dla prześlągnięcia Molocha zrozpaczone miasto składa mu na ofiarę swe nowo-narodzone. Kapłani srogiego boga wchodzą do domu Amilkara, żeby mu zabrać małego Annibala; Amilkar zamiast własnego dziecięcia, wydaje katom syna niewolnicy. Opis ofiary złożonej Molochowi krew w żyłach ścina... jestto coś nakształt duszącej zmory, marzenie ciężkie, dławiące, fatalne... Na co takie obrazy?

Moloch nasycony krwią niewiniątek, za lud swój walczyć poczyną. Amilkar zamyka wojsko najemników w wąwozie Topora, gdzie z głodu zjada się całe.

Ten cyrk Ugolina jest szczytem krwawego poematu: zgroza dalej nie idzie. Sztukmistrze tworzyli arcydzieła ze skonu jednego człowieka lub jednej konającej grupy: Flaubert studyuje śmierć na twarzy tłumu, mnoży summe rozpacz przez setki z siłą kata olbrzymia, któryby zdołał jednym zamachem ściąć głów sto tysięcy!

Na równi z opisem zjadającej się armii, postawić trzeba obraz finalny. Po skończonej wojnie Kartagińczycy wysyłają do wąwozu Topora człowieka, ażeby zobaczył co zostało z najemników? Człowiek staje nad przepaścią, nachyla się i patrzy. Lwy nażarte leżą w wąwozie najemnym szkieletami „wszystkie znać nakarmione do prze-

sytu, znudzone, pomęczone, ospałe, nieruchome jak góry lub trupy"... noc zapadała, zachód czerwienił się krwawo.

Miłość Libijczyka Matho dla Salamby, unosi się po nad mordem: Matho oblega Kartaginę, żeby osiąść córę Amilkara; dla otrzymania jęj, kradnie welon bogini. Salambo, jak żydowska Judyt, oddaje mu się, żeby odebrać talizman grodu.

Salambo, kapłanka Tanit, nie ma w sobie nic niewieściego: jest ona niby odbłask tego księżycy, który czci z zapalem; na świat spogląda z tak wysoka, jak gwiazdy... Libijczyka kocha wtedy dopiero, kiedy poszarpany przez pospólstwo, u nóg jęj kona. W ziemskim ogniu tęg miłości Westalka fenicka znika, jak cień niewieściego ideału pochwycony gwałtowném ramieniem namiętnego kochanka.

Taką jest ta oryginalna książka, której w ciągu niespełna dwóch miesięcy rozkupiono sześć tysięcy egzemplarzy pierwszego wydania. Trudności napisania jęj, były ogromne. Autor jeździł do Tunis, ażeby na miejscu szkieleł dzieła odkopać; instynkt, czy intuicya, dokonała reszty: ubrała szkieleł w ciało i wlała weń duszę tak żywą, iż więcej psychologią niż archeologią podziwiać trzeba. Twórczość nadzwyczajna, zaprawdę godna lepszego przedmiotu. W stylu razi nadużycie anatomicznych efektów i szczegółów mogących odjąć sen i apetyt.

Cóżkolwiekby, Salamambo zostanie dziełem niezwykłej miary, zapełniającém próżnię jaka istniała pomiędzy Tyrem a Rzymem.

Z powodu irlandzkiego głodu, którego jęki aż do Francyi dolatują, paryscy pisarze wydobyli zapomniane filipiki trybuna tego nieszczęsnego ludu, i od pewnego czasu gorliwie Swiftem się zajmują, nie Swiftem jaki był w istocie, ale Swiftem wymyślonym na urząd, ku potrzebie chwili. W ten sposób pp. Vailly i Ulbach ułożyli dramat pod tytułem: „*Le Doyen de Saint-Patrick*” (w którym ani słowa prawdy nie ma); w ten sposób Jules-Janin napisał życiorys umieszczony w *Guliwerze* illustrowanym przez Gawarniego; w ten sposób, nakoniec, pominąwszy

drobniejsze wzmianki, przedstawił Swifta tłumacz jego panflethu p. n. „Skromna propozycja wyswobodzenia ubogich Irlandczyków od kłopotu z nowonarodzonymi dziećmi”.

Podobne rozmiłowanie się w tak niewdzięcznym bohaterze, dowodzi albo zupełnej nieznajomości jego biografii, albo tendencyjnego przeobrażenia puszczyka w orła. Próżna praca! Swift jest wielkim człowiekiem w Anglii, ale na stałym lądzie mało znajduje wielbicieli jako zbyt wymowne uosobienie wszystkich wad rasy anglosaksońskiej. Dzieła i czyny Swifta nad którymi unoszą się Anglicy, gdzieindziej budzą tylko podziw milczący... Francuzi dla wymogów sceny i miłosierdzia, z samolubnego dziekana zrobili wikarego z Wakefield. Nie wiem czy taki cień Swifta wyłudzi dla Irlandczyków jałmużnę, ale zdaje mi się, że nawet w najlepszej intencji portretów historycznych fałszować się nie godzi.

Żaden z synów Albionu więcj nie budzi wstrętu jak Jonathan Swift: łączy on w sobie szaloną dumę, ponury egoizm, zaciętą nienawiść, palące szyderstwo, nietowarzyskość: słowem, wszystkie grzechy główne swojej ojczyzny. Nie ma jednej sympatycznej żyłki w tym księdzu mizantropie. Dzieła jego kłują lub straszą; jego żywot, był jednem pasmem szkodliwego tyraństwa, przeplantanego napadami wściekliczny.

Jak każda tyrania, tak i ta zrodziła się ze służebności. Mając lat dwadzieścia, Swift był sekretarzem Williamsa Temple; w trzydziestu, służył lordowi Berkeley. Traktowany jak lokaj na obu tych urządach, przyszedł autor *Guliwera* pił cierpliwie upokorzenia obiecując się pomścić sowiecie.

Wybiła w końcu godzina: nastała wolność druku. Swift za pomocą swych morderczych panfleatów, jak niewolnik otwierający sobie drogę sztyletem, wyzwolił się z poddaństwa. Cała Anglia patrzyła w dziennik z uwielbieniem, jak dotąd negry w „papier gadający”: Swift stał się na raz potęgą. Arystokracja, duchowieństwo, ministrowie, wszystko drżało przed piórem zadającym śmiertelne rany. Były sługa pański, nadużył srodze nowej pozycyi, odplacił dumnym pogardą, powalił na zie-

mię i zdeptał jak robaka pychę magnacką, która dała mu się we znaki.

Jednak, mimo zdolności i wpływu, Swift nie mógł osiągnąć władzy, bo namiętność zawsze górowała w nim nad ambycją. Nie można było zrobić biskupem sceptyka, który w „*Powieści Beczki*” porównał sekty chrześcijańskie do mniej więcej haftowanych ubiorów. Nie można także było wynieść do lordowskiej godności człowieka, który napisał w *Podróży Guliwera*: „Szlachcic jest nędznikiem zgniłym z duszą i z ciałem, po wchłonięciu w siebie wszystkich chorób i wszystkich przywar, które przekazały mu dziesięć pokoleń rozpustników i błaznów”.

Ograniczony do dekanatu świętego Patryka w Dublinie, w nędzy kraju, do którego został wygnanym, znalazł nowe źródło złości.

Z rodziny angielskiej urodzony w Irlandyi, Swift przejął całą nienawiść przybranej ojczyzny ku swojej rasie: jęczał jej głodem, podzwaniał jej kajdanami i srogie odkrywał rany. Ujarmiona Irlandya znalazła w nim potężnego obrońcę, bo Swift miał i szlachetne namiętności: niecierpiał niesprawiedliwości, obłuda go oburzała... ale, niestety, tylko nienawidzić umiał, kochać, nie. Bez miłości adwokatował sprawę pogwałconych; znać że gardził nimi tyleż prawie co ciemieżcami.

Pragnienie sprawiedliwości płynęło u niego z wiecznego rozdrażnienia: nawet poświęcenie żółcią zaprawiał.

Tém mniej był sympatycznym, że powierzchowność szpetna odpowiadała charakterowi. Od urodzenia poróżniony z Amorem, okazywał jawną wzdargę kobietom. Wybija ona aż nadto w jego „*Liście do młodej osoby idącej za mąż*.” Oto w jaki sposób Swift do niej przemawia:

„Masz acpanna bardzo mało czasu do pokazywania się światu młodą i ładną, a jeszcze mniej do pozostania taką w oczach męża, który nie jest głupcem. Spodziewam się, że już nie marzysz o przyjemnościach i zachwytach, które posłannictwem małżeństwa było po wszystkie czasy zakończyć nagle. Twój związek, zresztą, jest interesem przezorności, bez przymieszania owęj śmiesznej namiętności, istniejącej tylko w komedjach i romansach... Podobnie jak ci ludzie, którzy daleko więcej podejmują trudu do po-

tępienia, niżby go potrzebowali do zbawienia duszy, tak pleć twoja, więcej się przykłada do niedorzeczności wszelkiego rodzaju, niż do tego żeby była rozsądną i użyteczną. Skoro o tém myślę, nie mogę przypuścić żebyście byli istotami rodzaju ludzkiego; jesteście gatunkiem zaledwie o stopień wyższym od małpy. I to jeszcze, małpa umie zabawniejsze sztuki jak wy, do tego, jest zwierzęciem mniej kosztowném i mniej szkodliwém. Z czasem, małpa mogłaby równie dobrym być krytykiem aksamitów i atlasów, a te ozdoby równieby jój jak wam do twarzy przypadaly."

Wten sposób napisany od początku do końca ów dług list do panny młodej. Zdawałoby się, że po takim manifestcie, pleć piękna powinna była znienawidzić autora. Stało się przeciwnie! Swift wzbudził dwie miłości szalone... Jakim cudem stać się to mogło? Nader powszednim: próżność niewieścia nie zna uczucia obrzydliwości, Swift był sławnym, to dosyć.

Młoda, piękna dziewczyna, miss Waryng, wzdychała najprzód do zaszczytu zostania jego żoną. Swift chcąc ją odstraszyć, skreślił jój następujący program małżeństwa: „Czy jesteś zdolną, gościapanno, wyrzec się swoich skłonności, a wziąć moje? Nie mieć innéj woli prócz mojej? Żyć w zupełném zaparciu się siebie? Zniesieszli cierpliwie mój gniew, często niesprawiedliwy i mój humor zawsze nieznośny? Z trzechset funtów szterlingów, potrafiszli utrzymać dom na stopie dostatniej? Potrafisz być aniołem rezygnacyi, którego nie spodziewam się spotkać na tym świecie? Jeżeli tak jest, zostań moją żoną."

Panna Waryng cofnęła się przed wizerunkiem przyszłego szczęścia. Ale Swift nie pozbył się jeszcze natarczywości płci pięknej. Dawna uczennica Estera Johnson przybyła za nim do Irlandyi i została jego służącą, a miss Vanhomrigh zarzucała go miłosnemi listy. Swift stary, szpetny i szyderczy jak Satyr, dozwalał się uwielbiać dwom platonicznym kochankom: jedną nazwał *Stella*, a drugą *Vanessa*, czasami składał dla nich ciężkie wierszydła.

Stella dowiedziawszy się, iż ma rywalkę, rozchorowała się z rozpacz. Swift chcąc ją wyleczyć, ożenił się z nią, zamieściwszy w kontrakcie, że będzie tylko tytularnym

mężem. Mimo to, Vanessa umarła z zazdrości, i kazała się pochować przed oknem Swifta. Stella także przepojona goryczą, nie długo przeniosła się do wieczności. Nieczuły na cierpienia dwóch tych niewiast, Swift, nie mógł znieść ich widma, pogrążony w ponurym smutku, utracił wzrok, pamięć, nareszcie dostał pomieszania zmysłów. Skończył jak sam sobie przepowiedział: „jako szczur otruty w norze.”

Takim był rzeczywiście żywot i taka śmierć trybuna Irlandyi, sławnego pisarza, którego główne dzieło *Podróż Guliwera* ozdobiona genialnym ołówkiem, budzi na nowo wesołe śmiechy młodego pokolenia, a udratyzowana biografia łyzy wyciska w Odeonie.

Jaki człowiek, taki talent. Swift moralista nie przestaje być panflecistą. Jako taki, jest niezrównanym! Nigdy nikt z ziemiejszą krwią jadowiciej nie kasał. Lord Bajron pragnął, żeby piękna połowa ludzkości miała tylko jedno usta, w któreby on mógł całować. Swift pragnął, żeby cała ludzkość miała jedną twarz, w którąby on mógł pluwać... We wszystkich powieściach swoich myśli tylko o tém, żeby poniżyć człowieka. Ciało jest wedle niego, maszyną do podłych funkcyj; dusza, ogniskiem przywar i szaleństw, piękność złudzeniem; religią i naukę uosabia w kuglarzu; politykę w lino-łazie; oświatę w zgryźliwych błaznów i łotrów. *Podróż Guliwera* w gruncie jest smutniejszą niż podróż Danta do piekieł: Gibelin wstępuje z wiarą i nadzieją w podziemne państwa; Guliwer błądzi po świecie, bez nadziei i bez ideału: napotyka same przywary lub śmieszności powiększone sto razy; dowodzi, że ludzkość nieuleczona, że wszystko próżnością jest, lub klęską: świat przez niego odkryty, jest domem waryatów.

Wyszydając złe, najmoralniejsze zamiary umie pokryć tak spokojnem szyderstwem, że je raczej za szatańskie rady wziąć można. W najzjadliwszym panflecie wystosowanym ku przerażeniu tyranów Irlandyi, pod napisem „Skromna Propozycja,” doradza ubogim Irlandczykom, żeby hodowali dzieci swoje jak cielęta lub barany, a odchowawszy, sprzedawali je na stół pański... Bezecny ten pomysł nie wychodzi jako rozpaczny sarkazm z wewnętrzności obrońcy głodnego ludu, ale wypowiedziany jest

jak najspokojniej: Swift wchodzi w najdrobniejsze szczegóły, rozwodząc się nad korzyściami rzeźalni dzieci. Rzekłbyś, że to dawny kapłan Molocha zostawszy protestanckim pastorem, propaguje obrządek swego dawnego boga.

Dramat odeoński przedstawiający starego dziekana w postaci Tyrsyssa szarpanego przez dwie kochanki, nie należy do najsmaczniejszych; przywykłym do bezżeństwa kapłanom nie mogą się podobać miłosne przygody księdza. Mimo to tłok bywa wielki, gdyż wiadomem jest, że pewna część dochodu z przedstawień „*Diekana Saint-Patrick*” idzie na irlandzkich ubogich, równie jak pewien procent ze świeżo wydanych dzieł Swifta.

Dnia 25 listopada pan Ludwik Wołowski rozpoczął kurs zimowy w amfiteatrze konserwatorium sztuk i rzemiosł. Jestto rok dwudziesty istnienia kursu. Szanowny professor tej katedrze zawdzięcza wybór na członka dwóch zgromadzeń prawodawczych pod rządem republikańskim. Kurs Wołowskiego jest bardzo popularny: na prelekcjach jego więcej bywa wyrobników, niż na wykładach Towarzystwa politechnicznego, trudniącego się tu oświeceniem klasy roboczej. Mówiąc o prawodawstwie przemysłowem, ciągle o ekonomii polityczną potrąca, wyklada warunki pracy pracującemu, oraz opiekę, na jaką w społeczeństwie zasługuje. W tym roku p. Wołowski mówi o wystawach, czyli o popisach pracy i intelligeney, o tém, jakie były, a jakie są dzisiaj warunki pracy wolnej. Wolność pracy jest zwykle punktem wyjścia profesora: z tego założenia snuje on naukę zawsze zrozumiałą i zbawienną dla licznie zgromadzonego około swojej katedry proletaryatu.

— Ludwik Figuier wydał naukowo-bawiące dzieło pod napisem: „*Ziemia przed potopem*”. Opisuje w niem wewnętrzny układ naszego globu, równie jak zwierzęta, które na nim przyjsie człowieka poprzedziły a odbudowane zostały ze szczątków swoich przez Cuvier'a.

Dzieło to przeznaczone do rozpowszechniania we Francyi geologii, całkowicie celowi swojemu odpowiada. Prócz tekstu zawiera dwadzieścia pięć widoków idealnych,

przedstawiających krajobrazy dawnego świata, rysowane przez p. Riou; trzysta dziesięć rysunków zwierząt i roślin kopalnych. Siedm kart geologicznych kolorowanych, pokazują gatunek ziemi europejskiej i pokłady gruntu francuzkiego. Jestto książka bardzo pożyteczna dla uczącej się młodzieży.

— Wyszły po raz pierwszy tłumaczone na francuskie Utwory sceniczne hiszpańskiego pisarza Tirso di Molina. Przekładu dokonał Alfons Royer, tenże sam, który przed rokiem wydał tłumaczenie sztuk Cervantesa.

Tirso di Molina był współczesnym i współzawodnikiem Lope de Vega. On pierwszy przedstawił typ *uwodziciela*, Don Juana, który później znalazł tylu naśladowców i Molirowi posłużył do jego sławnej komedyi: „*Le Festin de Pierre*”.

Publikacya Royer'a poznajamia z jednym z najoryginalniejszych pisarzy dawnego kastylskiego teatru; składa się z pięciu sztuk dużych, uwydatniających rozmaite strony talentu sławnego księdza Gabryela Tellez, który przeszedł do nieśmiertelności pod pseudonimem Tirso di Molina.

Don Juan, czyli *Sewilski uwodziciel*, rozpoczyna księgę. Po nim następują: *Mądrość niewiasty*, dramat historyczny wyjęty z roczników kastylskich; *Wieśniaczka z Vallecas*, komedya obyczajowa; *Przeklęty za brak wiary*, dramat religijny nader oryginalny; nakoniec *Don Gil*, komedya zabawna.

— Pod tytułem: „*Victor Hugo raconté par un témoin de sa vie*”, pani Hugo ma wkrótce wydać Pamiętniki swojego męża przez siebie napisane. Teraz ukazało się już na widowni publicznej *Album* złożone z dwunastu rysunków autora *Nędzarzy*.

— Garnier-Pagès wydał tom VIII i ostatni *Historyi rewolucyi 1848 roku*. Organizacya republikańska, pierwsi wybrani głosowaniem powszechném, rząd tymczasowy i złożenie przez niego dyktatury, stanowią ośnowę księgi zamykającej to dzieło ważne dla historyi francuzkiego narodu.

— Ludwik Blanc ukończył także zupełnie swoją „*Historię rewolucyi francuskiej*”. Tom XII wyszedł tu z drukarni Furne et Compagnie.

Tenże księgarz wydał „*Przygody barona Munchhausen*,” ilustrowane przez Dorego. Ołówek genialnego rysownika uwydlatnił bardzo pocieszenie niemieckie facecye stu pięćdziesięciu obrazkami. Tekst z niemieckiego przełożył syn Teofila Gautier.

— Karol Dickens przybył do Paryża z zamiarem założenia odczytów publicznych, które w Anglii były wielce uczęszczane. Dochód ze swoich paryżkich odczytów romansopisarz angielski przeznacza dla ubogich wyrobników w Lancashire.

— Złożony ciężką chorobą malarz Horacy Vernet, odebrał od cesarza Napoleona wraz z wielkim krzyżem legii następujący list: „Mój drogi panie Vernecie. Z prawdziwą przyjemnością posyłam panu krzyż oficerski legii honorowej, jako dowód mojej żywej sympatii dla wielkiego malarza wielkiej epoki. Przyjm pan wyraz najlepszych uczuć *de Votre Affectionné Napoleon*”.

Horacy Vernet urodził się w 1789 roku, ma więc lat 73. Jest reprezentantem czwartego pokolenia tej dynastyi artystów, którą rozpoczyna Antoni Vernet.

Pierwszy z Vernetów biegły dekorator malował dekoracye i herby, których rysunek i koloryt bardzo chwalaono w swoim czasie. Drugi Klaudyusz Józef Vernet malarz rytownik, urodzony w Avignonie 1714 roku, na rok przed skonem Ludwika XIV, malował obrazy morskie, które obecnie podziwiają w Luwrze. Trzeci, Antoni Karol Józef urodzony w Bordeaux 1735 roku, w swoim czasie malował najlepiej konie i polowania. Czwarty, Horacy jest ostatnim swego nazwiska: miał tylko córkę cudnie piękną, która umarła młodo, zostawszy żoną Pawła Delaroche.

— Do artystycznych roczników należy i ten szczegół, który tutaj zapisujemy: Przed pięćdziesięciu laty Rossini sprzedał swojego *Il Barbiere di Siviglia* za sto talarów rzymskich (około sześciuset franków). Dwa ostatnie przedstawienia *Cyrulika* dzień po dniu, przyniosły teatrowi Włoskiemu 25,000 fr.

Korzystając z nauki, chociaż po szkodzie, Rossini nieco drożej sprzedał ułożony dla Rothschilda „Chór strzelców”. Ten ostatni utwór twórcy *Wilhelma Tella* wykonany w Rotszyldowskim pałacu Ferrières w obec cesarza Napoleona, miał pozyskać admiracją dostojnych gości. Baron na przyjęcie cesarza wydał półtora miliona franków; było ono królewskie.

